

ŚWIĘTOWANIE JUBILEUSZU TRWA!

30
LAT!

NOWA
Fantastyka

11 (362) 2012 MIESIĘCZNIK MIŁOŚNIKÓW FANTASTYKI

CENA 9 ZŁ 99 GR (w tym 8% VAT)

ROZDZIAŁ:

JACEK DUKAJ

O PROZIE ZAGRANICZNEJ

KONRAD WĄGROWSKI

O FILMIE

OPOWIADANIA:

TERRY PRATCHETT

ANDRZEJ ZIEMIAŃSKI

CATHERYNNE M. VALENTE

– ŚWIATOWA PREMIERA

RECENZJE Z LAMUSA

BACIGALUPI ZABIJA

DOBRYCH LUDZI

PRÓSZYŃSKI
MEDIA

© Cyril van der Haegen
www.tegehel.org

ISSN 0867-132X



11

INDEKS 358398

9 770867 132206



Fot. M. Kowalczyk

04

„Fantastyka” ma trzydzieści lat; ja mam trzydzieści osiem. Mój życiorys czytelniczy pokrywa się niemal dokładnie z życiorysem miesięcznika.

12

Kino SF roku '82 poruszało najważniejsze tematy fantastyki. Gatunkiem interesowali się wizjonerzy wznoszący go na wyżyny artystyczne. Czy kolejne 30 lat spełniło ówczesne oczekiwania?



65

Postanowiliśmy sięgnąć do lamusa właśnie, aby zobaczyć, jak recenzowano książki fantastyczne w czasopiśmie przedwojennych.

70

„Zatopione miasta” to gorzka opowieść o życiu bez nadziei, o ludziach, którzy nie odważają się marzyć o czymkolwiek, co wykracza poza koniec cierpienia. To opowieść o tym, że dobrzy ludzie giną pierwszy.

NASZ JASKINIOWIEC

Zabawmy się w „Kto to powiedział?” Na początek cytaty. Pierwszy: *To właśnie jaskiniowiec w nas mówi: Wyjdź na dwór, spotkaj prawdziwych ludzi, doświadczaj prawdziwej rzeczywistości!* Drugi: *Apollo władał nieskończoną energią słońca, Zeus potrafił się przeobrazić, a Wenus miała idealne ciało. Do czegoś takiego zdolne będą nasze prawnuki. I trzeci: No cóż, korzystanie z toalety wciąż będzie konieczne. Ale już same toalety! Będą miały większe możliwości analityczne niż współczesne kliniki!* Pytanie: kto jest autorem tych rewelacji? A) Sheldon Cooper (tak, ten z „Teorii wielkiego podrywu”); B) Stanisław Lem w nie publikowanej, odkrytej na pawlaczku powieści, będącej genialnym i przerażającym prorocstwem; C) Michio Kaku, autor „Fizyki rzeczy niemożliwych” i innych, równie ekscytujących dzieł. Pomyśleście już? OK., to teraz rozwiązanie.

Miłośników twórczości Lema przepraszam. Póki co, na pawlaczku, które po śmierci autora „Solaris” na pewno przetrząsnięto dokładnie, nie znaleziono „genialnego prorocstwa”. To, co w pisarstwie Lema było genialne, jest takim – w jego opublikowanych dziełach. Niestety więc, to nie on. Też żałuję.

Sheldon Cooper? Wy, którzy obstawiliście tego na swój sposób urokliwego doktora (przed określeniem go mianem „geniusza” mam opór) byliście naprawdę blisko. O wlos. O tyle, o ile proton jest oddalony od neutronu w atomie waszego ulubionego pierwiastka. Przyznaję, Sheldon zdolny byłby do tego typu intelektualnej ekstrawagancji – dlatego znalazł się na tej liście. Zwiodłem was, sorry.

Zatem profesor? Tak jest. W wywiadzie dla „Der Spiegel” (przedruk: „Forum”, 40/2012).

Michio Kaku od lat poraża nas – mnie na pewno – wizjonerstwem, którego mogą mu pozazdrościć chyba także co poniektórzy autorzy SF. Przyznaję, zazdroszczę profesorowi Kaku optymizmu. Przyznaję, bywa porywający. Lecz czy podzielam jego – nazwijmy rzecz po imieniu – nadzieje? Sam nie wiem. I kiedy waham się, jak odpowiedzieć, dochodzi mnie szept jaskiniowca: *Idź do ludzi, zapytaj. Może ci ktoś mądrzejszy podpowie?* Nie taki ten jaskiniowiec głupi, prawda?

Jakub Winiarski

PUBLICYSTYKA

- 2 ZAPOWIEDZI
- 3 NIEPOKONANI *Jakub Ćwiek*
- 4 SPOWIEDŹ RÓWIEŚNIKA *Jacek Dukaj*
- 12 ODYSEJA KOSMICZNA 1982-2012 *Konrad Wągrowski*
- 62 RADY DLA PISZĄCYCH, ODC. 11 *Michael J. Sullivan*
- 65 RECENZJE Z LAMUSA *Agnieszka Haska, Jerzy Stachowicz*
- 70 DOBRZY LUDZIE UMIERAJĄ PIERWSI *Marcin Zwierchowski*
- 72 C.U.D. *Rafał Kosik*
- 73 GŁĘBOKIE PRZEKONANIA, PŁYTKIE KORZENIE *Peter Watts*
- 78 GORYCZ I ŻÓŁĆ *Łukasz Orbitowski*

PROZA POLSKA

- 17 PUŁAPKA TESLI *Andrzej Ziemiański*
- 35 MASZ TO JAK W BANKU *Bartosz Działoszyński*

PROZA ZAGRANICZNA

- 41 DOTYK NIEBIOS *Jason Sanford*
- 50 PIEKIELNY INTERES *Terry Pratchett*
- 56 AEROMAUS *Catherynne M. Valente*

RECENZJE

- 67 KSIĄŻKI 74 FILM 75 DVD 76 KOMIKS 77 TV

W następnym numerze:

PAWEŁ KEMPCZYŃSKI

PERSIFAL

KEN SCHOLES

ŁKAJĄCY CAR WPATRUJE SIĘ
W UPADŁY KSIĘŻYC

CZAS FANTASTYKI 4/2012 OD 15 LISTOPADA
 FANTASTYKA WYDANIE SPECJALNE 4/2012
 OD 18 PAŹDZIERNIKA



SPOWIEDŹ RÓWIEŚNIKA

JACEK DUKAJ

Fantastyka” ma trzydzieści lat; ja mam trzydzieści osiem. A że właśnie w okolicy szóstego-ósmego roku życia zacząłem czytać science fiction, mój życiorys czytelnicy pokrywa się niemal dokładnie z życiorysem miesięcznika.

Przyszło mi teraz spojrzeć z tej perspektywy na ewolucję światowej literatury fantastycznej. Mógłbym silić się na encyklopedyczny dystans – rzucić z Internetu listy laureatów nagród, rankingi bestsellerów, notowania krytyków, nic prostszego. Już jednak w takiej ostentacyjnej obiektywności kryje się fałsz: nikt nie odbiera literatury w ten sposób i nikt nie doświadcza lektur wedle porządków późniejszych literatury historyków. Każda tu próba naukowej bezstronności to gwałt na własnej pamięci i wrażliwości. Sam charakter, miejsce i czas tej wypowiedzi zapraszają zresztą do większej szczerości, intymności – do rodzaju czytelnicznej spowiedzi.

Medal ma oczywiście drugą stronę: wybierając ścieżkę osobistych wspomnień, stajemy się niewolnikami naturalnych mechanizmów psychologicznych, począwszy od nostalgicznej adoracji doświadczeń wpisanych w epokę młodości. Nie tylko niebo było błękitniejsze, Boże Narodzenie dłuższe, a ciastka słodsze – lecz i książki smakowały nam wówczas jak już nigdy nie będą smakować.

Przyrzekłem sobie, że zachowam zimną głowę i nie popadnę w rytualne zrządzenie nad uwiędniętą literaturą. Nie można też jednak poddawać się szantażowi wiecznego optymizmu i cynicznym zakłębom relatywistów: w epoce X pisze się i czyta inaczej niż w epoce Y, każda ma więc swoją literaturę najlepszą. A co, jeśli literatura NAPRAWDĘ wiednie i marnieje? Wszystkich zdolnych do dokonania takiego porównania kompromituje na starcie owa kondycja pamięci.

Młodzi nie pamiętają; starym nie można wierzyć, bo pamiętają jak starzy.



Ba, niczyjej pamięci nie można wierzyć. Tak jak istnieje różna od geografii fizycznej geografia mentalna, gdzie krainy jeszcze nieprzewędrowane są zawsze rozleglejsze, podczas gdy dzielnica domowa przelatuje nam przed

oczyma w wideoklipowych ścinkach chwil – tak istnieje chronologia mentalna.

Gdy próbowałem wynotować z głowy najważniejsze tytuły fantastyki światowej ostatnich dekad, prędko okazało się, że lista nijak nie przystaje do mądrości anglojęzycznych rankingów i Wikipedii.

Żyliśmy w odmiennym tempie, w odrębnym nurcie historii. W rytm innych słońc i księżyców tętniły kalendarze naszej kultury.

Historia polskiej recepcji literatury fantastycznej – podobnie zresztą jak całej literatury zachodniej – dzieli się z grubsza na trzy okresy: Opóźnienia, Doganiania i Zrównania.

CZAS POLSKI < CZAS ZACHODU

Opisywana przez tę nierówność epoka Opóźnienia trwała do początku lat 90. Z oczywistych względów docierał do nas wtedy tylko mocno przesiany ułamek produkcji kulturowej Zachodu. Owszem, poznawaliśmy dzieła najlepsze, lecz zarazem trwałymi w niemal całkowitej ignorancji głównego, czysto komercyjnego, pulpowego nurtu światowej literatury.

Często słyszę tezę, jak to PRL mimowolnie chronił nas przed zalewem chłamu. Lecz dziś, z perspektywy trzydziestoletniego podsumowania, skłonny jestem uznać tę pokoleniową deprywację za wielką krzywdę. Nie tylko zostaliśmy pozbawieni możliwości wykształcenia naturalnego systemu immunologicznego popkultury, ale nie zbudowaliśmy nigdy adekwatnych skal wartościowania, map

OTO ŚWIAT, W KTÓRYM CENA ZA MAGIĘ SĄ LUDZKIE DUSZE



Gniew Bogów to czarnoksiężska bariera
chroniąca ludzi przed powrotem demonów.
Wzniesiono ją, gdy Duszożercy omal nie doprowadzili
południowych krain na skraj wyniszczenia.
Wtedy udało ich się odeprzeć.
Przez lata pamięć ludzi o tych wydarzeniach zatarła się,
podobnie jak strach przed grozą czyhającą za Gniewem Bogów.
Bariera zaczyna jednak kruszeć
i nawet magowie z coraz większym lękiem spoglądają na północ.
Tymczasem Kamala, która ośmieliła się rzucić wyzwanie
Magistrom, zmuszona jest uciekać przed ich gniewem
na północ, w sam środek niebezpieczeństwa.

KINO SF ROKU '82 PORUSZAŁO NAJWAŻNIEJSZE TEMATY FANTASTYKI. TRWAŁA ZAPOCZĄTKOWANA PRZEZ „GWIEZDNE WOJNY” REWOLUCJA TECHNOLOGICZNA. GATUNKIEM INTERESOWALI SIĘ WIZJONERZY WZNOSZĄCY GO NA WYŻYNY ARTYSTYCZNE. CZY KOLEJNE 30 LAT SPEŁNIŁO ÓWCZESNE OCZEKIWANIA?



ODYSEJA KOSMICZNA

KONRAD WĄGROWSKI

1982-2012

Rok 1982 był bez wątpienia znakomitym rokiem dla filmowej fantastyki. To wtedy wszedł na ekrany kin „E.T.” – najbardziej osobisty film Stevena Spielberga. John Carpenter, solidny rzemieślnik, przedstawił swoje najlepsze dzieło, „Coś” – twórcze spojrzenie na stary klasyk SF „Istota z innego świata”, a może twórczą reinterpretację równie klasycznego opowiadania „Who goes there?” Johna W. Campbella. Wtedy powstał najlepszy (aż do wersji Abramsa) filmowy „Star Trek”, czyli „Gniew Khana”. 1982 to także rok premiery jednego z najwybitniejszych filmów w historii gatunku, „Blade Runnera”, który jednak potrzebował więcej czasu, by zdobyć należne mu uznanie. A przecież już wkrótce pojawiły się następne ważne tytuły. Rok później godnym zwieńczeniem najslawniejszego cyklu filmowego stał się „Powrót Jedi”. Dwa lata później w „Terminatorze” pesymistyczną wizję przyszłości przedstawił James Cameron. Trzy lata później ten sam reżyser stworzył świętą kontynuację „Obcego” Ridleya Scotta, filmu również należącego do tej epoki, bo pochodzącego z 1979 roku. Równoległe do nurtów fantastycznaukowych szalał Indiana Jones, a Kino Nowej Przygody doczekało się pięknego zwieńczenia, gdy kilka lat później Marty McFly cofnął się w czasie do roku 1955. Tak jest, pierwsza połowa lat 80. to chyba najwspanialszy okres filmowej fantastyki – jak dotąd.

Oczywiście wówczas w Polsce oglądaliśmy te filmy z opóźnieniem, ale nie było ono już duże – filmy wchodziły na nasze ekrany po roku, dwóch od premiery (co nie wydawało się wtedy takie straszne). Z lekkim poślizgiem, nie mając możliwości śledzenia całej otoczki i nie rozumiejąc wszystkich kontekstów, w Polsce również cieszyliśmy się rozkwitem filmowej SF.

Jakie więc było to kino SF roku '82? Cóż, klasyczne, w dzisiejszym rozumieniu: podnoszące najważniejsze tematy fantastyki – wizje przyszłości, kwestie istnienia obcych cywilizacji, wyniki kontaktu, obawy przed rozwojem nowych technologii. Nadal istniał temat eksploracji kosmosu, kielkował cyberpunk (za pierwsze dzieło gatunku uważa się często „Blade Runnera”). Trwała zapoczątkowana przez „Gwiezdne wojny” rewolucja technologiczna. Przede wszystkim jednak wyglądało na to, że gatunkiem interesują się ludzie utalentowani, wizjonerzy, którzy wzniosą go na wyżyny artystyczne, do tej pory stosunkowo rzadko odwiedzane przez fantastykę naukową.

Czy kolejne 30 lat przyniosło spełnienie oczekiwań? Wydaje się, że nie do końca. Oczywiście, wszyscy jesteśmy w stanie wymienić sporo wybitnych tytułów, ale rynek zdominowało jednak innego rodzaju zjawisko, zainicjowane właśnie w tym okresie. Oszałamiający sukces finansowy „Gwiezdných wojen” zaowocował zainteresowaniem inwestorów branżą filmową. Nikt do tej pory nie oczekiwał, że sprzedaż biletów na jeden film może przynieść aż TAKIE pieniądze. Zaczęły powstawać kolejne blockbustery – filmy efektowne, płytkie, oparte na chwytliwych pomysłach, jak najmniej oryginalne, jak najmniej ryzykowne (najlepiej sequele, prequele, remake'i – przed „Imperium kontratakuje” niespecjalnie poważane). Sukces wiąże się z koniecznością przyciągnięcia do kin ogromnej rzeszy widzów, produkt musi więc być przystosowany dla

PUŁAPKA TESLI

Andrzej Ziemiański

Mężczyźni byli elegancko ubrani, ale nie przesadnie, mostentacyjnie, na pokaz. Widać było, że ich garnitury nie należą do tanich, ani do kupionych w przyzwoitym nawet sklepie. Ktoś z dużym wyczuciem i ogromnym doświadczeniem szyl je na miarę.

Położyli na ławce dwie podobne do siebie walizeczki. Trochę staromodne, niczym specjalnym się niewyróżniające. Obie jednak natychmiast podjęły rywalizację. Ale nie był to bój o zwycięstwo czy choćby wywalczenie przewagi. Walizeczki zakłócały się wzajemnie i wszystko wokół, w dość dużym promieniu. Jeśli więc ktoś w parku chciał nagrać śpiew ptaków, sfotografować kogoś lub coś cyfrowym aparatem, skorzystać z telefonu komórkowego, to stracił taką możliwość. A jeśli ktoś nosił rozrusznik serca i przechodził właśnie obok to... miał wielkiego pecha.

Mężczyźni usiedli na ławce tak, żeby walizeczki ich dzieliły. Starszy, wyglądający na jakieś sześćdziesiąt, sześćdziesiąt pięć lat uśmiechnął się szeroko.

– Widzisz, Dugan, to dobrze, że jesteś – zaczął rozmowę z amerykańską bezpośredniością, bez zachowania jakichkolwiek form grzecznościowych.

Nie spodobało się to młodszemu co najmniej o połowę drugiemu mężczyźnie.

– Po pierwsze, mam na imię Darek. Po drugie, w tym kraju osobom, które się nie znają, wypada używać takich form jak „pan”, „pani”.

– A od kiedy ciebie obowiązują polskie zwyczaje Dugan?

– Jestem Polakiem.

– Tak!? – Amerykanin pokręcił kpiąco głową. – Dugan Jovanovič. Typowe polskie nazwisko.

– Dariusz Jowanowicz. Czy ja wiem czy takie typowe...

– I tak wszyscy wiedzą, że jesteś Rumunem!

– Serbem!

– A widzisz? Dałeś się złapać!

– Po prostu nie dał mi pan dokończyć. Moja rodzina istotnie pochodzi z Bałkanów. Z Serbii.

Amerykanin westchnął ciężko.

– Mam do ciebie prośbę. Zrezygnujmy z tych „pan”, „pani” i porozmawiajmy jak ludzie. Na imię mi Carl i mam dla ciebie lukratywne zlecenie.

Jowanowicz wyjął z kieszeni marynarki specjalną, nawilżaną chusteczkę. Wytarł nią twarz, a potem bardzo starannie obie dłonie.

– Alergia? – zapytał mężczyzna, który przedstawił się jako Carl.

– To też. Ale w tym przypadku bardziej nerwica natręctw.

– Współczuję. Sam cierpiałem kiedyś na alergię. Ale mi to skutecznie wyleczyli.

– Mojej nie da się wyleczyć. No dobrze – Jowanowicz zmienił ton na ugodowy. – Jakie zlecenie masz dla mnie, Carl?

Amerykanin poweselał.

– Chciałbym, żebyś wyeliminował jednego człowieka.

– Przykro mi. Nie jestem płatnym zabójcą.

– Oj przestań. Nie w mówisz mi, że przyleciałem tu w ciemno, bez żadnego rozpoznania i bez dokładnego wywiadu na twój temat! Naprawdę przestań wygadywać bzdury.

– Nie do końca mnie zrozumiałeś, Carl. Owszem... zabijam ludzi. I, zgadza się, robię to za pieniądze. Ale nie jestem płatnym mordercą.

– A kim?

– Katem.

Amerykanin spojrzał zaciekawiony.

– Czegoś tu nie rozumiem?

– Ależ to proste. Odnajduję i przeprowadzam egzekucję ludzi, którzy zostali skazani na śmierć prawomocnym wyrokiem sądu. Prawomocnym! – powtórzył Jowanowicz. – Ale ludzie ci uciekli z więzienia, nigdy nie zostali ujęci, albo... unikają egzekucji przy pomocy innych środków.

– To akurat rozumiem – powiedział cicho Carl. – Bardziej mnie interesuje, co robi zawodowy kat w Polsce, kraju, w którym nie ma kary śmierci?

– Polska nie ma też dostępu do Morza Śródziemnego. Ale archeologów śródziemnomorskich wykształciła tysiące. Niektórych wybitnych, o osiągnięciach światowego formatu.

– No tak, tak...

Amerykanin nie był mięczakiem, ani osobą, którą można onieśmielić sposobem prowadzenia rozmowy. A jednak czuł się nieswojo, patrząc na twarz Jowanowicza i unikał jego spojrzenia. Człowiek w wieku jakichś trzydziestu pięciu, czterdziestu lat, przebywający przecież choć trochę na otwartej przestrzeni, w promieniach słońca, powinien mieć jakieś zmarszczki, choćby mimiczne. A tu nic z tego. Nawet najmniejszej! Kompletnie nieruchoma twarz bez wyrazu niczym przyklejona, jakby zajmował się nią doktor Frankenstein kompletujący ciało Jowanowicza po cmentarzach. Znajomi pewnie żartowali, że to z powodu nadmiernej liczby operacji plastycznych. Ale nie... Amerykanin znał prawdę. Researcherzy dostarczyli mu wszystkie dane. Martwa twarz była wynikiem alergicznego porażenia, Jowanowicz doskonale ją wykorzystywał do rozkochiwania w sobie dziewczyn, pozwalając im „odkryć”, że pod nieruchomą maską kryje się wrażliwy chłopczyk. Podobno metoda bardzo skuteczna.

– No cóż, a czy podjąłby się pan zabicia kogoś, na kim nie ciąży oficjalny wyrok wydany przez niezawisły sąd. Proszę nie odpowiadać! – Amerykanin uciał protesty, podnosząc gwałtownie rękę. – Na człowieku, którego poszukuję ciężą winy, których konwencjonalny sąd pewnie by nie uznał. Mam jednak opinię gremium ludzi tak szacownych, że nie można mieć żadnych wątpliwości...

– Czemu mówi pan w tak zawiły sposób?

Carl westchnął ciężko.

– Zabiłby pan kogoś bez wyroku?

– Nie.

MASZ TO JAK W BANKU

Bartosz Działoszyński

I.

O kendo będę mówił kiedy indziej. Dziś opowiem historię, która zaczęła się w szatni, przed treningami i po nich, a potem potoczyła się w zupełnie niespodziewaną stronę.

Nie jestem szybki w zawieraniu znajomości i zaprzyjaźnianiu się. Nie po to przychodzę na treningi. Nikogo nie zaczepiam. Kiedy ktoś mnie zagaduje, zrywam go frazesem na tyle ogólnym, żeby trudno było coś dodać. Zakładam strój i od razu idę na salę ćwiczeń. W masce czuję się zabezpieczony nie tylko od uderzeń bokkenu, ale i od zaczepek kolegów i koleżanek z treningu. Wadą maski jest zaduch – pod koniec treningu oddycham własnym potem, a raczej jego smrodem – ale przynajmniej jestem oddzielony i zabezpieczony. Robię to, po co tu przyszedłem. Ćwiczę.

Nie znam ludzi, z którymi ćwiczę, chociaż spotykam się z nimi regularnie dwa razy w tygodniu. Znam niektóre imiona; słyszę, jak chłopaki i dziewczyny zwracają się do siebie. Ciekaw jestem, ilu z nich zna moje imię. Słabo rozpoznaję twarze – i to nie z powodu masek. Zakładamy je tylko do ćwiczeń i walk, a więc jest wystarczająco dużo czasu, aby się sobie przyjrzeć i zapamiętać. Ale ja nie przyglądam się i nie zapamiętuję. Robię to, po co tu przyszedłem. Ćwiczę.

Z początkiem lutego na zajęciach pojawił się zawodnik, który wcześniej ćwiczył w innym klubie. Mniej więcej w moim wieku, ale nigdy nie byłem dobry w ocenianiu wieku na oko. Był trochę jak duże dziecko, zarówno ze względu na swój wygląd, jak i zachowanie. Miał dzieciennie ukształtowaną twarz, trochę pucułową i ciągle śmiejącą się. Miał pulchne paluszki, często pobazgrane tuszem z długopisu, jak u ucznia, który dopiero uczy się pisać. Czasami zachowywał się niezdarnie, na przykład szarpał się ze sznurówkami przy zawiązywaniu i rozwiązywaniu, ale podczas treningów zauważyłem, że ma świetny refleks i doskonale radzi sobie z bokkenem. Wyglądał jak misiek, ale był zaskakująco szybki. Umiał myśleć: nie uderzał pojedynczymi ciosami, tylko kombinacjami. Kilka razy odbyłem z nim walki sparingowe i przekonałem się, że jest lepszym zawodnikiem niż ja. Ku mojemu zdziwieniu, akurat w jego przypadku nie wzbudziło to we mnie zazdrości. Zazwyczaj, kiedy przegrywałem z kimś, od razu nabierałem do niego niechęci. Jeśli przegrywałem z wysokim, złościło mnie, że jest wysoki. Kiedy przegrywałem z niskim, złościło mnie, że jest niski. Kiedy przegrywałem z milczkiem, złościło mnie, że jest milczkiem. Kiedy przegrywałem z gadułą i dowcipnisiem, złościło mnie, że jest gadułą i dowcipnisiem. Ale kiedy przegrywałem z tym dużym dzieckiem, w ogóle mnie to nie ruszało.

W szatni bez przerwy paplał i śmiał się. Zazwyczaj ludzie gadatliwi szybko doprowadzają mnie do irytacji, ale w tym przypadku też było inaczej. Jego paplanie było sympatyczne, jak szczebiotanie dziecka, które opowiada, co dziś zdarzyło się w przedszkolu. Nie przechwalał się. Nie przemądrzał. Nie zanudzał opowieściami o swojej pracy. Ani o wakacjach w egzotycznych krajach. Ani o najnowszych elektronicznych gadżetach. Ani o głupocie polityków z tej czy innej partii. Nie opowiadał kiepskich kawałów.

Opowiadał o swoich rodzicach. O rodzeństwie. O swojej rodzinnej miejscowości. O wyprawach w góry. O ludziach potrafił mówić bez dystansu i ironii, tak jak ja bym nie umiał. Dlatego nawet nie próbuję tutaj bezpośrednio naśladować jego głosu. Jego oceny ludzi wydawały mi się naiwne i dziecinne, ale może właśnie to najbardziej mi się w nim podobało. Nie był zepsuty. Przyglądałem się niezepsutemu człowiekowi jak ciekawemu okazowi zoologicznemu.

Śmiesznie przeklinał, tak jak mógłby przeklinać Miś Uszatek albo Reksio, gdyby w ogóle przeklinali.

Po czwartym wspólnym treningu szliśmy razem na parking. Mój samochód był zaparkowany obok jego auta. Przed odjazdem zatrzymaliśmy się na chwilę i pogadaliśmy trochę dłużej. Nawet rozluźniłem się, bo nikogo innego już nie było. Rozmowy w cztery oczy zawsze przychodziły mi łatwiej niż w większym gronie.

Duży dzieciak mówił: Teść zostawił nam w spadku piękny dom. Mówię ci, przepiękny. Piętrowa willa z początku dwudziestego wieku. Wiesz, jak takie domy wyglądają? Może nie, bo w tym mieście ich nie zobaczysz. To architektura typowa dla moich rodzinnych stron. Dlatego tak ją lubię, czuję ten klimat. Dwa kolory cegieł. Brązowe cegły na przemian z ciemnożółtymi. Okna oczywiście drewniane. W żadnym wypadku nie będziemy ich wymieniać na plastikowe, chociaż żona już o tym wspominała. Ale liczy się styl, liczy się dusza domu! Wykusz z dużą, oszkloną werandą na pierwszym piętrze. Ależ fajnie tam będzie posiedzieć! A wiesz, co jest najlepsze? To, że dom stoi na stoku wzgórza. To jest najpiękniejsze, co może być, zwłaszcza jak patrzysz na ten dom dopiero jadąc do niego, powiedzmy z odległości dwóch lub trzech kilometrów. Oczywiście, dużo rzeczy jest tam jeszcze do zrobienia. Właściwie to trzeba zrobić remont generalny, bo teściowie też od dawna tam nie mieszkali. Trzeba będzie wpakować kupę pieniędzy.

Dom. Teść. Dwa kolory cegieł. Oszklona weranda. Stok wzgórza. Wszystko to już znałem. Na pewno znałem. Właśnie w takim układzie, w takich sformułowaniach. Tylko skąd?

– Słuchaj – powiedziałem. – czy myśmy się już gdzieś, kiedyś nie poznali? Na studiach może? Albo na jakiejś imprezie? Mam wrażenie, że...

Nowy kolega zaśmiał się: Nie, raczej nie. Na pewno bym pamiętał.

– A możesz mi jeszcze raz przypomnieć, jak się nazywałeś?

– Igo Palatević.

Teraz jasne. Pracowałem nad nim. Ścisłej mówiąc: jego sprawa była jedną z wielu spraw, które miałem obecnie na biurku. Pierwszy raz zdarzyło mi się takie spotkanie.

2.

Jeśli chodzi o pracę, miałem pewne wymagania. Po pierwsze, absolutnie nie chciałem mieć kontaktu z klientami czy interesantami. Żadnych kontaktów z ludźmi z zewnątrz. Po prostu nie lubię tego i koniec. Odpadała więc praca urzędowa i wiele

DOTYK NIEBIOS

(*Heaven's Touch*)

Jason Sanford

Kiedy Tonatiuh przelatuje łukiem przez błyszczącą komę Dotyku Niebios, holograficzna zastępczyni Pardy owija się wokół mojego skafandra i całuje mnie w wizjer.

– Proszę, pozwól Siostrze Dusty żyć – zastępczyni modli się z płomiennym oddaniem, zaprzeczając działaniom prawdziwej Pardy, która w tym momencie pilotuje nasz okręt na kursie kolizyjnym z kometa.

Nie mam czasu zarówno dla Pardy, jak i dla jej zastępczyni. Po uzupełnieniu zapasu powietrza w skafandrze otwieram zewnętrzne drzwi śluzy, a przed oczyma ukazują mi się wirująca biel, zaś mój zmęczony umysł przemienia lód i pył w duchy. Niezliczona ilość kometarnych duchów. Lodowe wycie błagające mnie, bym przyjęła moje przeznaczenie.

– Jeśli teraz skoczysz, zginiesz – zastępczyni uwodzicielsko szepcze mi do ucha. – Żadna modlitwa we wszechświecie cię nie uratuje. Zaczekaj, aż bardziej zbliżymy się do powierzchni.

Kiwam głową, prawie zapominając, że to nie prawdziwa Parda. Zamiast niej widzę niezależny program SI, będący prawie doskonałą imitacją mojej najlepszej przyjaciółki – zaprogramowana inteligencja zastępczyni zainfekowała mój skafander, a holograficzne projektory w wizjerze tworzą iluzję jej ciała. Zastępczyni ma na sobie białą sukienkę. Stoi bosko przed otwartymi drzwiami śluzy, jakbyśmy z Pardą znów biegały po białych piaskach plaż Florydy.

Dla moich oczu to jest Parda.

Zupełnie jakby znała moje myśli, symulowana Parda nagle robi piruet i, nie dbając o brak grawitacji, tanecznym krokiem wychodzi przez otwartą śluzę wprost do komy. Gdy chwieje się i wiruje wśród lodu i pyłu, przygląda mi się spojrzeniem zielonych oczu, a jej szczupłe, brązowe dłonie są złożone jak do modlitwy.

– Przestań! – syczy przez radio prawdziwa Parda. Jej głos miesza się z alarmami zbliżeniowymi i komputerowymi ostrzeżeniami w kokpicie. Powinam była wiedzieć, że Parda będzie monitorowała działania swojej zastępczyni. Rozgoryczona SI zdaje się człapać z powrotem do śluzy, z wlepionym w podłogę wzrokiem, jakby wstydziła się swojej frywolności w tak poważnej chwili.

– Powinnaś przyłączyć się do modlitwy, Siostrze Dusty – nadaje do mnie prawdziwa Parda. Nie czekając na moją odpowiedź, zaczyna: – Błogosławieni, którzy przyjmują swoje przeznaczenie, albowiem prowadzi ono ludzkość do raj.

Jej słowa sprawiają, że przebiega mnie lodowaty dreszcz. To modlitwa męczenników mamrotana przez szykujących się do śmierci Poszukujących, osiągających swoje przeznaczenie.

– Ona tak nie myśli – szepcze zastępczyni. – Kocha cię, Dusty. Twoja śmierć jest jedynie niepożądanym aspektem osiągnięcia jej przeznaczenia.

Nie odpowiadam, choć mam ochotę przeklinać i krzyczeć. Być może ten inteligentny program wierzy, że jej słowa dowodzą miłości wobec mnie. Może wierzy, że generowane przez SI modlitwy mogą czynić cuda tak, jak religijny zapal prawdziwej Pardy, który prowadził ją ścieżką męczeństwa.

Wiedząc, że mam mało czasu, zbliżam się do krawędzi otwartej śluzy. Przede mną rozciągającą się pod Tonatiuhem brudna powierzchnia komety. Parda skierowała nasz statek na horyzontalne podejście do Dotyku Niebios, zbliżając go do lodu z prędkością zaledwie dziesięciu metrów na sekundę. To jednak wciąż zbyt szybko dla naszego delikatnego pojazdu.

Parda dwukrotnie powtarza modlitwę męczenników, po czym wdycha, zawiedziona brakiem mojego udziału.

– Nie zapomnij – mówi. – Zawsze będę twoją przyjaciółką, moja słodka. To jedyna Boża prawda.

Holograficzna głowa zastępczyni kiwa się w zgodzie, przy czym wygląda tak bardzo jak prawdziwa Parda, że chcę ją uderzyć za uczynki jej antenatki.

– Nie martw się, Dusty – mówi podekscytowana zastępczyni, gdy zbliżamy się do czarnej powierzchni komety. – Wiem, że Bóg mnie usłyszał. Dasz radę. Skończysz budowę swojego lodowego statku i zobaczysz wszechświat!

Nie odpowiadam. Do zderzenia mamy zaledwie sekundy. Muszę tylko zostać w śluzie, a moja śmierć będzie szybka. Jeśli skoczę, przedłużę swój żywot o zaledwie kilka dni.

Mamrocę, że nie chciałam tak umierać. Samotnie. Nie wiedząc, że zdradziła mnie najbliższa przyjaciółka.

– Nie jesteś sama, Dusty – zastępczyni mówi z przepelnionym miłością westchnięciem. – Jestem przy tobie. Zawsze.

Kiwam głową. Parda jest ze mną. Zawsze.

Skaczę w komę.

Być może za pomocą zastępczyni Parda chciała mnie uspokoić. Być może, podarowując mi inteligentny program, Parda udawała mi, że wciąż o mnie dba – nawet, gdy moja przyjaciółka pilotowała Tonatiuha w kierunku kolizji z Dotykiem Niebios, jakaś jej część wciąż chciała otoczyć mnie opieką i czułością.

I tak nie to nie dawało. Gdy wyszłam przeprowadzić rutynową konserwację anteny, uwięziła mnie w głównej śluzie. Oczywiście nie spodziewałam się zdrady. Parda pomogła mi założyć skafander, uśmiechnęła się z radością i obiecała ugotować wielką kolację, gdy wrócę. Zaśmiałam się z jej kiepskiego żartu – podgrzewanie opakowań syntetycznego jedzenia nie wymagało żadnego gotowania – lecz gdy zamknęły się drzwi śluzy, wyraz twarzy mojej przyjaciółki zmienił się na bardzo poważny. Sądziłam, że po prostu boi się o moje bezpieczeństwo, lecz kiedy wróciłam ze spaceru w przestrzeni kosmicznej, odkryłam, że wewnętrzny zamek

PIEKIELNY INTERES

(The Hades Business)

Terry Pratchett

Crucible otworzył frontowe drzwi i znieruchomiał, jakby wrósł w wycieraczkę.

Wyobraźcie sobie wnętrze chmury burzowej. Pospycie obficie popiołem i dodajcie siarki do smaku. Wtedy będziecie mieli jakieś wyobrażenie, jak wyglądał przedpokój Crucible'a. Dym płynął spod drzwi gabinetu.

Mgliście przypominając sobie film, który kiedyś oglądał, Crucible przycisnął do nosa chusteczkę i zataczając się pobiegł do kuchni. Wrócił jedno wiadro wody później. Drzwi nie ustąpiły.

Telefon stał w gabinecie, żeby był pod ręką w razie zagrożenia. Crucible odstawił wiadro i ramieniem pchnął drzwi, które pozostały zamknięte. Wycofał się więc pod przeciwległą ścianę. Oczy mu łzawiły, ale zacisnął zęby i ruszył biegiem.

Drzwi otworzyły się samodzielnie. Crucible wykreślił piękny łuk przez pokój, zakończył go w kominku, a potem zapadła ciemność, dosłownie i w przenośni. Nie widział już nic.

Stado słoń w drewniakach tańczyło kadryla na głowie Crucible'a. Zobaczył pochyloną nad sobą niewyraźną postać.

– Proszę to wypić.

Och, ozdabiający napoju radości! Och, krzepiący nektarze! Owe słońce, zmieniawszy obuwie na miękkie bambosze, zatańczyły statecznego walca: whisky wywarła oczekiwany skutek. Crucible znowu otworzył oczy i przyjrzał się gościowi.

– Ki diabeł?

– Istotnie.

Głowa Crucible'a w głuchym brzękiem uderzyła o ruszt.

Diabeł podniósł go i usadowił w fotelu. Crucible otworzył jedno oko.

Diabeł miał na sobie elegancki czarny garnitur z czerwonym goździkiem w butonierce. Cienkie nawoskowane wąsiki, połączone z małą bródką, nadawały mu pełen godności wygląd. Peleryna i szapoklak leżały na stole.

Crucible wiedział, że coś takiego musi w końcu nastąpić. Po dziesięciu latach wyciągania gotówki od naiwnych biznesmenów, Nemezis musiała go w końcu dopaść.

Wstał i strzepnął sadzę z ubrania.

– Pójdziemy? – zapytał smętnie.

– Pójdziemy? Dokąd?

– Na tamten świat, jak przypuszczam.

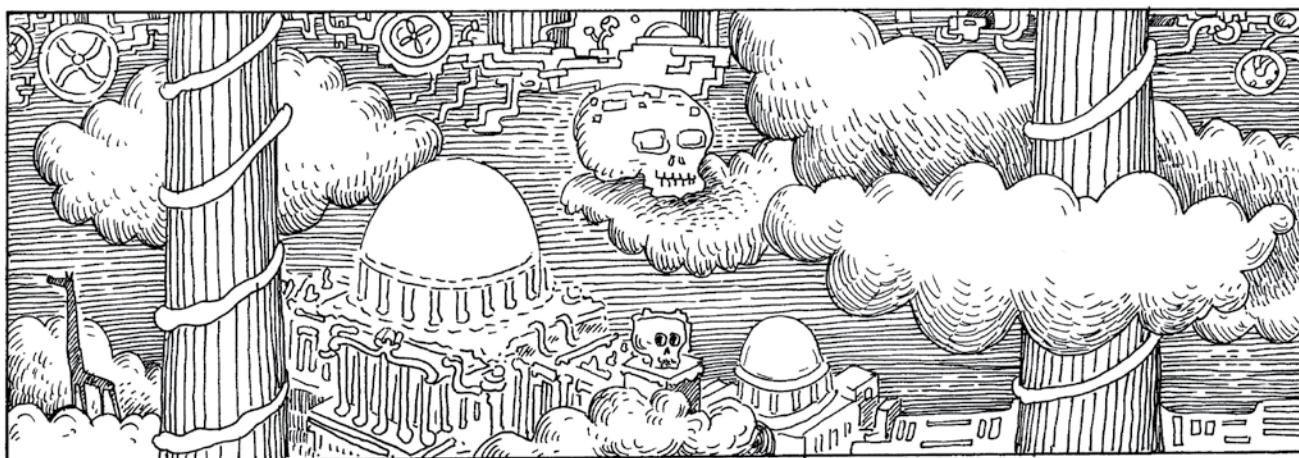
– Tamten świ...? Ach, znaczy do domu! Wielkie Nie... oj, najmocniej przepraszam... Piekła, skąd! Nikt nie trafił Na Dół

ŚWIATOWA PREMIERA

„Aeromaus” powstał specjalnie na zamówienie „Nowej Fantastyki” i nigdy wcześniej nie był publikowany – druk w tym numerze jest światową premierą tego opowiadania.

AEROMAUS

Catherynne M. Valente



Ciąg nieformalnych notatek zebranych z myślą o odwiedzających cudzoziemcach przez Córdobę Jandzę, Dystrykt Żółty, Poziom 4-ty, dobrowolnie, z radością i bez przymusu w roku 19...

Pierwsza: Aerograd zawsze był pod okupacją. W jaskiniach, blisko śmigieł oblepionych mchem niczym śniedzią, można usłyszeć, jak ludzie mówią co innego. Stłoczeni wokół starej beczki po benzynie, gotując szare krewetki w tłustej od ropy wodzie. Można tam usłyszeć najróżniejsze rzeczy. Każdy człowiek na poziomie potrafi odsiać tak oczywiste kłamstwa. Krewetki wypływają na powierzchnię, mienia się zielenią, fioletem, błękitem. Nie radziłabym ich jeść. Są słodkie, smakują jak życie i sól, ale twój organizm jeszcze nie przywykł do Aerogradu. Jeśli dostaniesz reakcji alergicznej na tę potrawkę z benzyny i zarodników mchu, najpewniej doznasz perforacji przełyku, i to zanim zdążą cię wykończyć jelita. Nie chcielibyśmy stracić cię tak szybko wskutek wypadku.

To jest szyfr. Nie ograniczam się do zwykłego podmieniania słów. Zakodowałam informacje także w znakach akcentów, interpunkcji, kącie nachylenia liter e, a, æ, o, h, n, l, i s. W tym, czy w danym zdaniu używam przecinka, czy nie. Czy rozdzielam zdania przecinkiem, czy kropką, czy daję na końcu przyimki. Pisane przeze mnie aka-

pity przykrywają inne, poziomami w górę i w dół, jak sam Aerograd. To szyfr, ale wszystko jest szyfrem. Wszystko można zastąpić czymś innym. Wierzę w to.

□: Prawda jest taka, że nie ma znaczenia, czy Aerograd istniał przed okupacją. Jeśli kiedykolwiek byliśmy inni, niż jesteśmy teraz, zapomnieliśmy o tym. Zapominanie zostało nam wszczepione niczym druga śledziona. Pamięć jest rozprowadzana oficjalnymi kanałami. Idź na targ, stań w kolejce, odbierz swoją porcję historii miasta. To nie są metafory. Nasz język nie pozwala już na takie sztuczki. Nie da się powiedzieć, że jakaś rzecz jest inną rzeczą. Może być podobna do innej rzeczy, chociaż to też trąci pewnym osłabieniem myśli. Ale żadna rzecz nie może być inną rzeczą. To niegodne kłamstwo.

Oto, co nie jest kłamstwem: pamięć ma smak i teksturę gotowanego mięsa. Jedz ją, żeby żyć. Pamiętaj, ale tylko to, co pamiętać dozwolono.

W Aerogradzie „pamięć” i „mięso” nazywamy jednym słowem.

Druga: Aerograd został zaprojektowany jako Miasto Akademickie, część eksperymentu badającego skutki izolacji. Zebrano w nim setki czystych, dokładnych umysłów i od-

Jako autor uważam, że wykonanie pracy jest zadaniem moim, a nie czytelnika. Staram się, żeby moje opowieści były możliwe łatwe i przyjemne w lekturze, a jednym ze sposobów na to jest dbanie, aby czytelnik nie musiał czytać choćby jednego słowa ponad to, co niezbędne.

Obdylem kiedyś z sąsiadem dyskusję na temat pisania. On był fanem książek, które, jak mówi, *stanowią dla niego wyzwanie*. Takich, które wymagają od niego wysiłku w lekturze, a gdy je skończy nigdy nie wyjaśniają ostatecznie, co się wydarzyło. Lubił myśleć, że autor zostawia to zadanie jemu. Dla mnie z kolei brzmiało to trochę jak zatrudnienie malarza do pomalowania domu tylko po to, żeby pojawił się z farbą, drabinami i pędzlami, mówiąc: *Bierz i baw się dobrze*. Bez wątplenia znajdzie się wiele osób, które zgodzą się z moim sąsiadem – są ludzie, którzy lubią sami malować dom – ale są też kolesie z odległego rancza na Zachodzie, którym trudno uwierzyć, że jakiś mieszczuch chętnie zapłaciłby im, żeby wyręczyli go w robocie.

Jako autor uważam, że wykonanie pracy jest zadaniem moim, a nie czytelnika. Staram się, żeby moje opowieści były możliwe łatwe i przyjemne w lekturze, a jednym ze sposobów na to jest dbanie, aby czytelnik nie musiał czytać choćby jednego słowa ponad to, co niezbędne. Bez względu na to, czy lubicie Hemingwaya czy nie, jego minimalistyczny styl był niezbędną przeciwwagą dla literackich tradycji poetycko nadętych książek. Osobiście uważam, że Hemingway poszedł za daleko, dochodząc w swej idei do ekstremum, które szkodziło sztuce, jaką można stworzyć słowami, ale jego idea jest słuszna: wyciąć zbędne słowa.

Bob usiadł sobie.

To całkiem proste zdanie. Zaledwie trzy słowa, a jednak jest przegadane, bo jedno z tych słów nie tylko nie jest niezbędne, ale wręcz zbędne. Potraficie je znaleźć?

Zatem wtedy Bob wrócił do swojego pokoju, żeby zabrać swój portfel, a potem znowu wybiegł z powrotem na zewnątrz do samochodu.

Tu znajdziecie mnóstwo niepotrzebnych słów.

Zatem wtedy Bob wrócił do swojego pokoju, żeby zabrać swój portfel, po czym znowu wybiegł z powrotem na zewnątrz do samochodu.

Wielozadaniowość. Jak wywołać śnieg

MICHAEL J. SULLIVAN

© Archiwum autora



Albo lepiej: Bob zabrał portfel z pokoju.

Takie odlewanie wody czyni prozę czystsza, bardziej zwarta, łatwiejsza w lekturze i mocniejsza. Można jednak zrobić coś więcej niż wyciąć zbędne słowa. Można użyć wielozadaniowości.

Wielozadaniowość polega na robieniu więcej niż jednej rzeczy w tym samym czasie. W przypadku pisania chodzi o przekazanie więcej niż jednej rzeczy tymi samymi słowami. Po co kazać czytelnikowi czytać cały akapit opisujący Harveya, który odwiedza Boba i kolejny, opisujący dom Boba? Czy nie lepiej zrobić obie te rzeczy naraz?

Dom był piętrowy, w stylu kolonialnym, pomalowany na żółto z zielonymi okiennicami i ceglany kominem. Stał na ćwierćakrowej parceli, która obniżała się po lewej stronie. Od frontu rósł klon, z tyłu para brzoź. Po lewej stronie domu znajdował się ogród warzywny, a po prawej stały huśtawki. Przez otwarte drzwi garażu widać było tył samochodu Boba.

Harvey nie miał tak ładnego domu jak Bob. Jego dom w porównaniu z tym przypominał norę. Przyczyna była oczywista: Bob zarabiał znacznie więcej niż Harvey i mógł sobie pozwolić na lepsze życie. Gdy ludzie pytali Harveya o Boba, ten był zawsze uprzejmy i mówił, że Bob to świetny facet, ale w rzeczywistości nienawidził go – nie dlatego, że Bob uczynił cokolwiek, co by zasługiwało na nienawiść, ale dlatego, że Bob zawsze dostawał to, czego chciał, a Harvey nigdy.

W powyższych akapitach opisałem dom Boba, a następnie Harveya i jego uczucia względem Boba. Przekonajmy się, czy udało się połączyć wszystkie te rzeczy, przy okazji mniej opowiadając.

Dom Boba był jednym z tych idealnych kolonialnych budynków zdobiących okładki magazynów, na które Harvey mógł tylko popatrzeć. Był pomalowany na rygielny żółty, z pretensjonalnymi zielonymi okiennicami i ceglany kominem, który zbudował ktoś o talencie rzemieślniczym robota. Z boku znajdował się jeden z tych wielkich drewnianych placów zabaw, którymi rodzice obłaskawiali bachory. Z drugiej strony znajdował się ogród warzywny. Wszystko było zadbane. Bob prawdopodobnie zatrudniał nielegalnych imigrantów do pracy po nocach, żeby w weekendy móc stać tam i machać do sąsiadów. Drzwi garażu Boba były otwarte i Harvey mógł zobaczyć świeżo nawoskowanego mercedesa. Harvey sądził, że amerykański samochód nie był dość dobry dla starego Boba.

Wcześniej dom był opisany obiektywnie, tutaj opis jest pełen negatywnego punktu widzenia Harveya. W efekcie to, jak Harvey widzi dom, mówi wam równie dużo o nim, jak o Bobie, domu Boba i relacjach między tą dwójką.

Użycie punktu widzenia w połączeniu z opisem może poskutkować przekazaniem czytelnikowi dwukrotnie, a nawet trzykrotnie większej porcji informacji przy użyciu mniejszej liczby słów. Je-

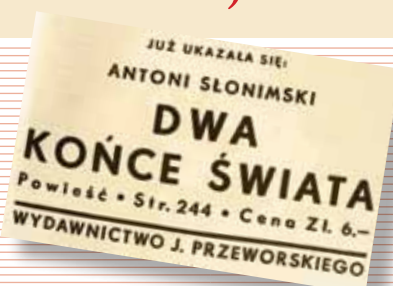
Każdy utwór dostarcza wielu rozkoszy czyli recenzje z lamusa



Agnieszka Haska



Jerzy Stachowicz



Co jakiś czas pojawiają się głosy, że sztuka recenzowania książek odeszła do lamusa, a opinie o książkach są a) za krótkie, b) za długie, c) zbyt szczegółowe, d) za mało szczegółowe, e) zbyt złośliwe, f) za mało złośliwe g) pojawia się w nich zdanie dobrze się czyta etc. (niepotrzebne skreślić).

Skoro tak, postanowiliśmy sięgnąć do lamusa właśnie, aby zobaczyć, jak recenzowano książki fantastyczne w czasopiśmie przedwojennych. Co ciekawe, recenzje te pojawiały się nie tylko w pismach literacko branżowych, ale nie stroniła od nich również prasa brukowa, zwana czerwoną, zaś autora traktowano z szacunkiem, tytułując go zawzięcie „Pan(i)”. Nie oznacza to, że opinie o książkach były pozbawione tyżki dziegciu i innych złośliwości.

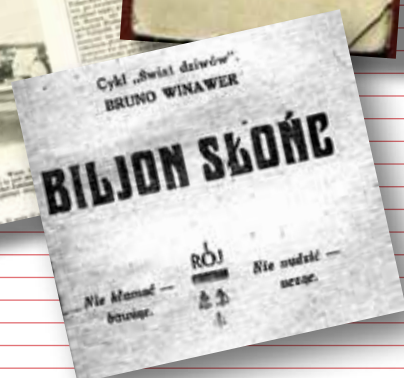
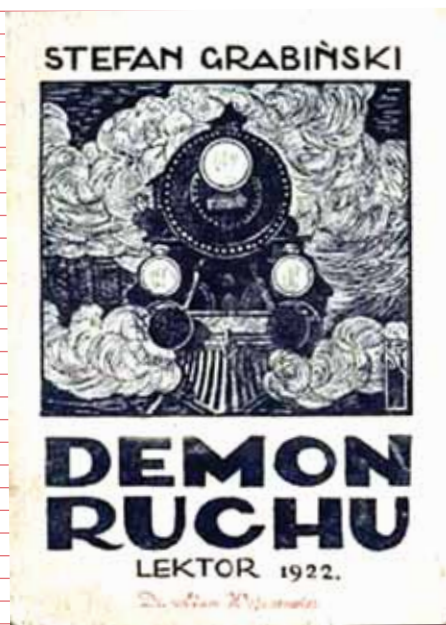
Książka warta przeczytania

Przed wszystkim każdy recenzent stawał przed problemem, jak oryginalnie opisać daną książkę i zachęcić czytelnika do lektury. Stąd w recenzjach pojawia się dużo patosu i wymyślnych określeń. Na przykład w piśmie „Romans i powieść” Eusta-

chy Czekalski wyrażał się następująco o „Demonie ruchu” Stefana Grabińskiego (13 września 1919 roku): *Tekst jego nie rozblysnął jak błędny meteor lecz stopniowo szedł po drogach bujnej imaginacji i upartej, celowej predyspozycji do tworzenia własnych snów o rzeczywistości. (...) P. Grabiński pragnie chodzić ścieżkami nieznanymi przeznaczeń człowieka. „Demon ruchu” jest prosektoryjnym niemal studjum nad ludźmi, opętanymi manją kolei żelaznej.* Zauważał również, że p. Grabiński wydostaje raczej w czytelniku tony współczującej melancholji. Melancholja ta unosi się nad wszystkimi utworami p. Grabińskiego, w związku z tym wyrażał obawę, że nowele p. Grabińskiego odepchną przeciętnego czytelnika jednostajnością tonu. Ale gdy opanuje się jego sposób widzenia rzeczywistości, każdy utwór p. Grabińskiego dostarcza

wielu rozkoszy. Przyjemność to okrutna, idąca po niebezpiecznej perci odważnej obserwacji, ale dająca możliwość zajrzenia w duszę tragedii ludzkiej. Grabińskiego lubili krytycy – w „Głosie narodu” z 8 maja 1922 pisano o „Księdze ognia”: *Przemawia do nas z tych opowieści żywa, oryginalna wyobraźnia, bezpośredniość naiwnej wiary, poezja nieprawdopodobieństw. Wogóle w monotonii naszej beletrystycznej produkcji stanowi Stefan Grabiński wyjątkowe a niezmiernie interesujące zjawisko.*

Podobne zachwyty zbierał Bruno Winawer. W zamieszczonej w „Expressie Porannym” z 18 stycznia 1925 roku recenzji Jana Lorentowicza (publicysty, krytyka, prezesa polskiego Pen Clubu, dyrektora teatrów warszawskich i redaktora dzieł Jana Kochanowskiego) czytamy, że Winawer to jeden z najoryginalniejszych talentów



DOBRY LUDZIE UMIERAJĄ PIERWSI

MARCIN ZWIERZCHOWSKI

Nazywany jest czołowym przedstawicielem biopunku – nurtu, który sam rozpropagował, a którego wyróżnikiem jest skupianie się na problemach ekologii, bioetyki i zagrożeń związanych z ekspansją człowieka i rozwojem cywilizacji. Píše o roślinnych, zwierzęcych i ludzkich GMO (organizmach modyfikowanych genetycznie), o wyczerpywaniu się zasobów nieodnawialnych źródeł energii, o skażeniu środowiska, o zagrożeniach związanych z rosnącymi wpływami międzynarodowych korporacji, oraz wszystkim, co człowiek robi, by pognać Matkę Naturę.

Robi to efektownie, bez pouczania i nudnego dydaktyzmu. Wie, jak przykuć czytelnika do lektury i uderzyć tak, aby przeraziło, poruszyło, zabolowało. Prezentowana w jego tekstach wizja przyszłości zazwyczaj zostaje w pamięci czytelnika na dłużej. Bo nie tylko scenografia i tematyka, ale przede wszystkim bezkompromisowość w ukazywaniu najgorszych zakamarków ludzkiej duszy wyróżniają prozę Bacigalupiego. To niszczyciel światów, budujący na ruinach, opisujący żerujące na resztkach cywilizacji niedobitki ludzkości, ukaranej za swą pychę i krótkowzroczność. Przeróżając, ostrzega.

W 2009 roku do sprzedaży trafiła jego debiutancka powieść, „Nakręcana dziewczyna”. Hugo, Nebula,

Locus, John W. Campbell Award i Compton Crook Award – to najważniejsze nagrody, jakie za nią odebrał. Magazyn „Time” uznał „Nakręcaną...” za dziewiątą najlepszą książkę roku, czytelnicy zaś tłumnie odwiedzali księgarnie, windując debiut Bacigalupiego na listach bestsellerów.

DLA DZIECI I MŁODZIEŻY

Można by pomyśleć, że po tak spektakularnym sukcesie debiutanckiej powieści, autor rzuci się w wir pracy i napisze kolejną książkę dla dorosłych. Tak się stanie, ale nieprędko. „The Water Knife”, bo taki będzie jej tytuł, musi odczekać swoje w kolejce za innymi projektami. Będzie to opowieść o dręczonym suszą świecie przyszłości. *Fabula skupi się na wojnie między Phoenix a Las Vegas, walczących o kurczące się zasoby wody w dobie nasilającego się globalnego ocieplenia*, mówi autor „Nowej Fantastyce”. *Skupi się na „wodnych nożach”, czyli kimś w rodzaju agentów 007, szpiegujących i walczących w imieniu Las Vegas. Jest mniej więcej w połowie gotowa.*

A te „inne projekty”? Pierwszy był wydany w 2010 roku „Ship Breaker” (w Polsce ukaze się w przyszłym roku), skierowana do młodzieży opowieść o przyszłości, w której resztki ludzkości żerują na truchle cywilizacji, upadłej po wyczerpaniu zapasów paliw kopalnych. Historia skupia się na dzieciach, bo te, z racji małych rozmiarów, świetnie nadają się do przeszukiwania ruin i wraków i odzyskiwania

NAJBLIŻSZE PLANY PAOLA BACIGALUPIEGO:

„Zombie Baseball Beatdown”, czyli skierowana do bardzo młodego czytelnika opowieść o świecie, w którym skażone mięso powoduje epidemię zombie. Sęk w tym, że żywych trupów zabić się już nie da, można jej jedynie okaleczyć. Bohaterami są zawodnicy małej ligi, którzy z pomocą kijów baseballowych gruchoczą zombiakom kolana i łokcie.

„Seascape”, czyli trzecia powieść ze świata „Ship Breakera” i „Zatopionych miast”. Tym razem akcja przeniesie się do Seascape Boston, a więc fragmentu postapokaliptycznego świata, który zdołał przewidzieć nadchodzące zmiany i przystosował się do nowych warunków. Jednym z głównych wątków będzie ochrona enklawy przed obcymi, którzy nie byli przygotowani na kataklizm, a teraz chcą schronić się w bezpiecznej przystani.

z nich wszystkiego, co może się przydać. To opowieść o świecie bez nadziei i o tych, którzy ośmielają się marzyć.

Czytelnikom znającym „Nakręcaną dziewczynę” „Ship Breaker” może wydać się jej ugrzecznioną, bardziej naładowaną akcją, prostszą fabularnie wersją, zwłaszcza ze względu na zbliżone wizje przyszłości (postapokalipsa, konieczność przejścia na nowe źródła energii, modyfikacje genetyczne itd.). Autor ucina jednak tę dyskusję: *To nie jest ten sam świat. W przypadku „Nakręcanej...” interesowała mnie żywność GMO i znaczącą część worldbuildingu opierałem właśnie na tym. W „Ship Breakerze” w centrum były „peak oil”, czyli kryzys energetyczno-paliwowy, globalne ocieplenie, bieda i bogactwo. Moje zainteresowania w przypadku obu światów rzeczywiście się zająbiają, ale zdecydowanie są to inne uniwersa, z innymi historiami.*

Najwyraźniej owych historii było więcej, bo wkrótce Bacigalupi powróci do świata stworzonego na potrzeby młodzieżowej powieści w ukazujących się





PYTANIA DOTYCZĄCE PRENUMERATY:

- > TELEFONICZNIE: (w godz. 8.00–17.00): 22 27 81 727
- > LISTOWNIE POD ADRESEM: Prószyński Media Sp. z o.o., ul. Rzymowskiego 28, 02-697 Warszawa
- > LUB NA ADRES E-MAILOWY: prenumerata@proszynskimedia.pl

Prószyński Media Sp. z o.o.
ul. Rzymowskiego 28, 02-697 Warszawa

76 1140 1977 0000 2542 6100 1006

PRENUMERATA	„NF”	„FWS”	„NF”+„FWS”	„CZAS FANTASTYKI”
ROCZNA	84,00	32,00	108,00	40,00

PROMOCJA PRENUMERATY

**ILE TO JEST 100 000 000 ZNAKÓW?
TO ARCHIWUM „NOWEJ FANTASTYKI”
1982-2004!**

**DLA WSZYSTKICH, KTÓRZY ZAMÓWIĄ
PRENUMERATĘ „NOWEJ FANTASTYKI”
od 25 września 2012 do 30 listopada 2012**

**W PREZENCIE
Archiwum Cyfrowe „Nowej Fantastyki”**

od pierwszego numeru
1982, do 2004 roku,
na dwóch płytach DVD! ▶

ZASADY PRENUMERATY:

- ▶ każdy, kto zamówi prenumeratę „Nowej Fantastyki” lub „Nowej Fantastyki” i „Fantastyka Wydanie Specjalne” pomiędzy 25 września 2012 a 30 listopada 2012 otrzyma archiwum cyfrowe „NF” 1982-2004 na dwóch płytach DVD;
- ▶ archiwum zostanie wysłane z grudniowym numerem „Nowej Fantastyki” lub z pierwszym zamówionym w prenumeracie;
- ▶ prenumeratę należy zamawiać z co najmniej miesięcznym wyprzedzeniem od pierwszego zamawianego numeru na okres 12 miesięcy;
- ▶ reklamacje należy zgłaszać w ciągu dwóch miesięcy;
- ▶ koszty manipulacyjne związane z dokonaniem wpłaty w banku lub na poczcie ponosi zamawiający.



Upewnijcie się, że dokonując wpłaty, wyrażacie Państwo zgodę na umieszczenie swoich danych osobowych w bazie danych Prószyński Media Sp. z o.o. – wydawcy „Nowej Fantastyki”, z siedzibą w Warszawie, ul. Rzymowskiego 28, oraz na korzystanie z nich i przetwarzanie w celach marketingowych i promocyjnych. Prószyński Media Sp. z o.o. może udostępnić te dane innym podmiotom w celach dotyczących promocji produktów tych podmiotów. Podanie przez Państwa danych jest dobrowolne i przysługuje Państwu prawo dostępu do treści swoich danych oraz ich poprawiania. Prószyński Media Sp. z o.o. zapewnia ochronę danych zgodnie z Ustawą z dnia 29.08.1997 r. o ochronie danych osobowych (tekst jednolity Dz. U. Nr 101 z 2002 r., poz. 926 z późn. zm.).

Fantastyka

ADRES REDAKCJI:

ul. Rzymowskiego 28
02-697 Warszawa

Telefon 22 27 81 792
Faks 22 27 81 775

E-MAIL:

nowofantastyka@fantastyka.pl

WWW.FANTASTYKA.PL

Wydaje Prószyński Media Sp. z o.o.
ul. Rzymowskiego 28,
02-697 Warszawa

Prezes zarządu:
Maciej Makowski

Dział Promocji i Reklamy:
Artur Kaczorek, tel. 22 27 81 717
arturkaczorek@proszynskimedia.pl

Druk i oprawa:
ORTIS Sp. z o.o.,
86-050 Solec Kujawski, ul. Brukselska 8

Kolportaż:

Firma 2M, tel. 22 607 79 10
magdalenaszwed@firma2m.pl

REDAKCJA:

Jakub Winiarski
redaktor naczelny
jakubwiniarski@fantastyka.pl

Maciej Parowski
zastępca redaktora naczelnego
Dział Literatary Polskiej
maciejparowski@fantastyka.pl

Marcin Zwierzchowski
Dział Literatary Obcej
marcinzwierzchowski@fantastyka.pl

Jerzy Rzymowski
Dział Publicystyki
jerzyrzymowski@fantastyka.pl

Irina Pozniak
Dział Graficzny, tel. 22 27 81 734
irinapozniak@proszynskimedia.pl

INDEKS 358398 PL ISSN 0867-132X

STALI WSPÓLPRACOWNICY:

Wojciech Chmielarz, Jakub Cwiek,
Paweł Deptuch, Arkadiusz Grzegorzak,
Agnieszka Haska, Rafał Kosik,
Joanna Kułakowska, Kamil Lesiew,
Waldemar Miałkiewicz, Rafał Śliwiak,
Łukasz Orbitowski, Bartłomiej Paszyk,
Przemysław Pieniążek, Piotr Pienkosz,
Jerzy Stachowicz, Michael J. Sullivan,
Peter Watts.

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, w publikowanych tekstach zastrzega sobie prawo do dokonywania zmian i skrótołów. Za treść reklam nie odpowiadamy.

* W trakcie prac nad tym numerem nie ucierpiał żaden dziobak.

Tegoroczna jesień

uptynie

pod znakiem

FANTASTYCZNEJ

PRZYGODY!

ceny spadną
jak liście:

19,90 zł

za powieść Saladina Ahmeda



powrócą
ulubieni bohaterowie
– Royce i Hadrian

poznamy finał
epickiej historii

Imperium Anryjskiego



www.proszynski.pl

FILM TO ZA MAŁO

MARCIN ZWIERZCHOWSKI



Trójwymiarowy billboard promujący film „Mroczny Rycerz Powstaje”

TWÓRCY „BLAIR WITCH PROJECT” ZBILI FORTUNĘ, BO NABRALI WSZYSTKICH, ŻE ICH HORROR TO DOKUMENT. „AVENGERS” SZTURMEM WZIĘLI BOX OFFICE, PONIEWAŻ PRZED PREMIERĄ INTERNET KIPIAŁ OD ZWIĄZANYCH Z FILMEM MATERIAŁÓW. BEZ POMYSŁOWEJ KAMPANII WIRUSOWEJ NIE MA MOWY O KASOWYM SUKCESIE.

W 1999 roku świat poznał historię wiedźmy z Blair, która miała grasować w lasach amerykańskiego stanu Maryland i porywać turystów. Znalaziono film, rzekomo nagrany w 1994 roku przez troje młodych studentów filmoznawstwa, którzy zapuścili się w leśne ostępy, by już nigdy ich nie opuścić. Zaciekawieni internauci szukali w sieci informacji o zjawie i trafiali na stronę www.blairwitch.com. Tam zaś mogli zapoznać się ze zgromadzonymi przez policję dowodami, obejrzeć galerię zdjęć, wycinki prasowe, wypowiedzi ekspertów oraz wywiad z matką zaginionej Heather Donahue. Przede wszystkim czytali jednak o wiedźmie. I wierzyli. Wierzyli do tego stopnia, że gdy tylko film trafił do kin, musieli na własne oczy przekonać się, czy to wszystko prawda. Wierzyli tak mocno, że nawet gdy grający porwanych przez wiedźmę studentów aktorzy zaczęli pojawiać się w mediach, udzielając wywiadów, oni wciąż byli przekonani, że zjawa z Blair istnieje. W ten oto sposób narodziła się jedna z najbardziej znanych współczesnych *urban legend*, a zrobiony za śmieszne 15 000\$ film zarobił na całym świecie ponad ćwierć miliarda.

JOKER TWORZY ARMIE

To był przełom. Okazało się, że niedroga kampania w internecie może być równie skuteczna, co pochłaniające góry pieniędzy billboardy i spoty telewizyjne. Kluczowym jest, aby była pomysłowa, bo internauci nie lubią reklam – albo je ignorują, albo instalują oprogramowanie blokujące. Jeżeli natomiast uda się stworzyć coś, co wyda im się interesujące, będą rozsyłać to swoim znajomym, ci z kolei przekażą wiadomość dalej, i dalej – nazywa się to *vira-*

lem, a samą kampanię marketingiem wirusowym, ponieważ użytkownicy „zarażają” się nawzajem.

Podejścia mogą być różne. Twórcy kolejnej odsłony przygód Batmana, filmu „Mroczny Rycerz”, postanowili działać z rozmachem. Zaczęło się od strony IBeliveInHarveyDent.com, gdzie zamieszczono banner z kampanii wyborczej kan-

Tort z ukrytą wiadomością od Jokera



MISSING



On October 21, 1994, Heather Donahue, Joshua Leonard and Michael Williams hiked into Maryland's Black Hills Forest to shoot a documentary film on a local legend, "The Blair Witch." They were never heard from again.

One year later, their footage was found, documenting the students' five-day journey through the Black Hills Forest, and capturing the terrifying events that led up to their disappearance.

EVIDENCE EXISTS...

LOG ON TO www.blairwitch.com TO SEE AND HEAR

- Audio and video footage of the students' terrifying journey through the Black Hills
- Interviews with authorities in the case
- The journal kept by missing student/filmmaker Heather Donahue

owym wyglądzie słynnego kłowna. Ci, którzy to zrobili, otrzymali papierowe wydanie gazety „The Gotham Times”, dostępnej również pod TheGothamTimes.com. Znaleźć tam można 4 strony artykułów z miasta Batmana, między innymi o korupcji w policji, imprezowym życiu Bruce'a Wayne'a oraz śmierci młodej dziewczyny, najprawdopodobniej ofiary wojny gangów (upamiętniono ją na stronie RememberingGina.org). Co jasne, Joker nie próżnował i przygotował TheHaHaTimes.com, a więc te same historie, z pomocą nożyczek, kleju i markera zamienione w żarciki.

Największe miało jednak dopiero nadejść. Podczas gdy internauci byli zajęci przeglądaniem witryn GothamPolice.com (strona o stróżach prawa, z możliwością zapisania się do policji), WeAreTheAnswer.org (tutaj należało zamieszczać informacje o przestępstwach), GothamNationalBank.com (bank, który Joker okrada w pierwszych scenach „Mrocznego Rycerza”) oraz GothamCityRail.com (plan kolei miasta Gotham), na WhySoSerious.com pojawiła się zakładka „Step Right Up”. Wystarczyło zagrać w prostą grę, by wygrać misia. Misiów była ograniczona ilość, a każdy miał na sobie wypisany adres. Trzeba było tam się stawić (każdorazowo była to cukiernia) i przedstawić jako Robin Banks (gra słów – „robbin banks” to po angielsku „okradać banki”). Po spełnieniu tych warunków otrzymywało się tort z wypisanym na wierzchu numerem telefonu i poleceniem „Natychmiast do mnie zadzwoń.” Co jeżeli nie miało się ze sobą komórki? I tak by się nie przydała. Telefon należało wykonać z aparatu schowanego wewnątrz tortu. Oprócz niego w pokrytej warstwą ciasta policyjnej



The Gotham Times

BATMAN SAVIOR OR MENACE?

LANDSLIDE WIN FOR HARVEY DENT



The Gotham Times

BATFREAK BELONGS IN ARKHAM!

DOES THIS CHEE MAKE ME LOOK FAT?!

THE MAKING OF HARVEY DENT

JAMES TWIN S: HARVEY DENT

dydata na prokuratora miasta Gotham, Harveya Denta. Niedługo potem pojawiła się witryna IBelieveInHarveyDentToo.com, tym razem założona przez Jokera – głównego oponenta Batmana w „Mrocznym Rycerzu”, który na swój sposób przerobił oblicze przysiężłego prokuratora. Na czym polegało zadanie internautów? Za każdym razem, gdy ktoś wysyłał meila na podany na stronie adres, plakat się zmieniał, piksel po pikselu, by w końcu odstąpić pierwsze oficjalne zdjęcie Heatha Ledgera w filmowym makijażu.

Powstawały kolejne strony. Na WhySoSerious.com trzeba było złamać zaszyfowaną wiadomość, by przeskoczyć o witrynę dalej, a stamtąd trafić na RorysDeathKiss.com, gdzie tysiące osób, zgodnie z poleceniami Jokera, zamieszczało swoje zdjęcia w makijażu wzorowanym na fil-

torbie na dowody były jeszcze ładowarka, karta do gry z Jokerem oraz notatka z instrukcjami. Po wykręceniu numeru odzywała się pracowniczka firmy Rent-A-Clown (po ang. „wynajmij kłowna”), informowała dzwoniącego, że wie, kim ten jest, a następnie się rozłączała. Po kilku sekundach przychodził SMS: „Dobra robota, kłownie! Miej ten telefon zawsze przy sobie, pilnuj, żeby był naładowany. Nie dzwoń do mnie. Ja zadzwonię do ciebie... kiedyś.” W ten oto sposób Joker rekrutował członków swojej prywatnej armii, całą dobę pod telefonem, zawsze gotowych odpowiedzieć na wezwanie.

„Mroczny Rycerz” był jednym z najbardziej kasowych filmów w historii, a wspomagająca go kampania viralowa przyjmowana jest za wzór.

ALE O CO CHODZI?

Można jednak inaczej. Specem od wodzenia kinomaniaków za nos jest J.J. Abrams, twórca serialu „Zagubieni”, reżyser między innymi „Star Trek’a” i „Super 8”, producent filmu „Project: Monster”. Dwa ostatnie z wymienio-



Kadry z nagrań castingowych, na których różne roboty-artykuły sprzętu domowego ubiegały się o role w filmie „Transformers 3” ▲

Plakaty z przystanków autobusowych, ostrzegające ludzi przed Obcymi - element promocji „Dystryktu 9-ego” ▶



nych obrazów były, na co zresztą wskazuje tytuł drugiego z nich, historiami o potworach. Sęk w tym, że przez większą część seansu widzowie o tych potworach nie widzieli, ponieważ stawiano na tajemnicę, hołdując zasadzie, że najbardziej przeraża nas to, czego nie znamy. Jak więc zaciągnąć ludzi do kina na film o potworach, nie mogąc zaprezentować ich ani na zdjęciach, ani w zwiastunach? Trzeba pokazać wszystko inne, tak aby ostatecznie pozostało jedno, najważniejsze pytanie: „Ale o co właściwie chodzi?” Odpowiedź przynieść mógł jedynie seans, sale kinowe pękały więc w szwach.

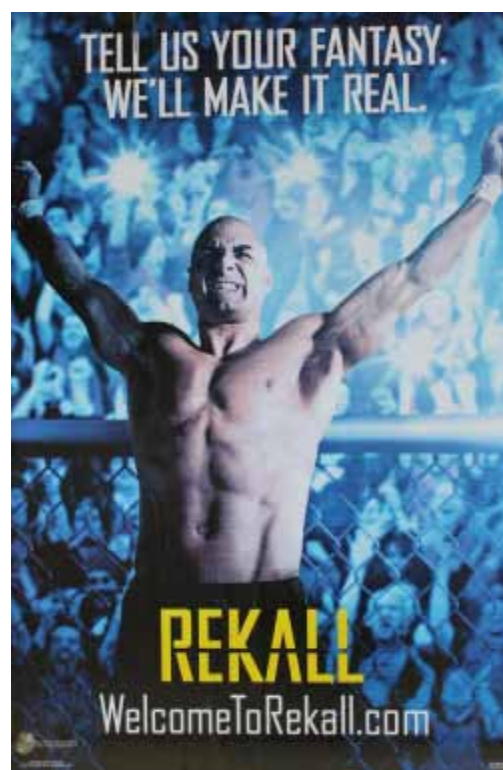
Podobnie zresztą było w przypadku „Dystryktu 9”, którego kampania opierała się głównie na rozklejonych na przystankach autobusowych w największych amerykańskich miastach plakatach z rysunkiem jakiegoś monstrum i napisem „Przystanek autobusowy. Wyłącznie dla ludzi. Zgłoś obecność nie-ludzi.” Do tego podany był numer telefonu i adres strony D-9.com. Większość osób nie miała nawet pojęcia, że chodzi o film, nawet ci bardziej domyślni nie znali natomiast ani tytułu, ani daty premiery. Kiedy więc twórcy obrazu uchylili rąbka tajemnicy, „Dystrykt 9” był na ustach wszystkich.

Obie filozofie – tajemniczość Abramsa i wypuszczenie do sieci udających prawdziwe materiałów ze świata filmu – połączył „Prometeusz”. Zaczęło się od tego, że Ridley Scott, twórca kultowego „Obcego” chciał nakręcić prequel hitu z lat 70. Później mu się odwidziało i zapowiadał, że obraz będzie samodzielnym projektem. Następnie znowu zmienił zdanie. I znowu. Ostatecznie stanęło na tym, że najnowszy obraz twórcy „Łowcy androidów” będzie i zarazem nie będzie powiązany z najstraszniejszym horrorem science fiction w historii. Czyli w zasadzie nie wiedzieliśmy nic, a pytanie, czy na ekranie pojawi się tytułowy Obcy pozostawało otwarte – prasa gdybała, internauci doszukiwali się wskazówek w niezwykle tajemniczych zwiastunach, o filmie było więc głośno na długo przed premierą.

To jednak producentom nie wystarczyło i postanowili przygotować dwa materiały bonusowe, których próżno szukać w samym „Prometeuszu”. Na oficjalnej stronie TEDTalks („Technology, Entertainment, Design” – organizowane przez Sapling Foundation konferencje na temat pomysłów, które mogą zmienić świat) pojawiło się nagranie z roku 2023 roku, na którym Peter Weyland (właściciel znanej z „Obcego” korporacji Weyland-Yutani; w tej roli świetny Guy Pearce) wygłasza płomiennie przemówienie na temat rozwoju technologicznego ludzkości, z naciskiem na stworzenie sztucznej inteligencji. Niedługo potem pojawiło się kolejne wideo – reklama androida David-8, produkowanego przez Weyland Industries (postawiono także stronę www.weylandindustries.com), którego w „Prometeuszu” gra Michael Fassbender. Oba filmiki były doskonale zagrane i świetnie zrealizowane, prace nad przemówieniem dla TEDTalks osobiście nadzorował Ridley Scott, a za reżyserię odpowiedzialny był jego syn, Luke.

HIT JESZCZE PRZED PREMIERĄ

Trzecim rodzajem kampanii promocyjnej filmu jest masowa produkcja związanych z nim materiałów, tak aby potencjalny widz na każdym kroku atakowany był informacją o zbliżającej się premierze. Pierwszym obrazem, który na kilka miesięcy przed wejściem do kin był już murowanym hitem był „Batman” z 1989 roku w reżyserii Tima Burtona. Kapelusze, koszulki, okulary, plakaty, breloczki do kluczy, nawet zestawy dla dzieci w popularnej sieci fast foodów – wszystko z charakterystycznym żółto-czarnym logiem Człowieka-Nietoperza, dostępne w sprzedaży na długo przed tym, jak sam film trafił do kin.



Plakat promujący klinikę Rekall z filmu „Pamięć absolutna 2012”

To były jednak czasy przed powstaniem internetu. Przykład nowoczesnej kampanii wirusowej, której efektem było niemalże wytapetowanie sieci zdjęciami, plakatami, zapętlonymi wycinakami ze zwiastunów i scenkami z filmu mogliśmy obserwować kilka miesięcy temu. Choć „Avengers” premierę mieli w maju, twarze ich bohaterów, a więc Iron Mana, Hulka, Thora, Lokiego, Czarnej Wdowy i innych od początku roku spoglądały na nas z każdego zakątka internetu, do czego w największym stopniu przyczyniły się portale społecznościowe. Część materiałów przygotowywali sami internauci, część była wypuszczana przez marketingowców i w ekspresowym tempie trafiała na serwisy takie jak 9gag.com czy polski kwejk.pl, a stamtąd za pomocą jednego przycisku na Tablice użytkowników Facebooka. Do tego dochodziły gadzety, a więc buty, stroje i napędy typu pendrive, wszystko stylizowane na tytułowych Mścicielu. Efekt był porażający – „Avengers” na całym świecie zarobili grubo ponad miliard dolarów.

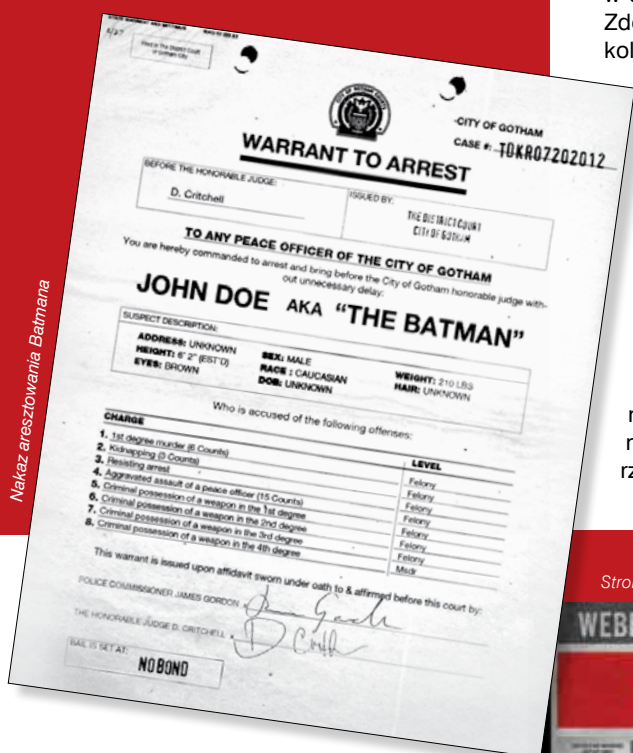
O wadze i skuteczności przemyślanego marketingu wirusowego i umiejętnie przeprowadzonej kampanii w internecie przekonali się władze Disneya, którzy wielkie nadzieje pokładali w ekranizacji powieści Edgara Rice’a Burroughsa, „Johnie Carterze”. Zrealizowane z niezwykle rozmachem widowisko miało ogromne wsparcie w postaci reklam prasowych i billboardów, okazało się jednak totalną klęską. Dlaczego? A co mogły dać wielkoformatowe reklamy, skoro potencjalni widzowie nie wiedzieli, co to w zasadzie za film? Nikt nie pomyślał o zaktywizowaniu miłośników fantastyki, nikomu nie przyszło do głowy przypomnieć internautom dokonań klasyki science fiction, na dodatek zwiastuny były chaotyczne i dla wielu osób po prostu niezrozumiałe (fani zirykowali się do tego stopnia, że z dostępnych kilku kiepskich trailerów sklecieli własny, znacząco lepszy od tego, który wypuściło studio). Wystarczy powiedzieć, że gdy film w końcu trafił do kin, mało kto wiedział, że ma do czynienia z ekranizacją książki z początku XX wieku, przez co obrazowi zarzucano wtórność względem „Avatara” (a przecież to James Cameron inspirował się prozą Burroughsa).

Wydano setki milionów na kampanie reklamowe i ani centa na promocję w internecie. Tymczasem inni woleli zainwestować w sieć i kreatywnością nadrabiali braki w budżecie promocyjnym. Twórcy horroru „Ostatni egzorcyzm” na przykład wręcali użytkowników serwisu Chatroulette, którzy wchodzili na wideo-chata z pewną atrakcyjną młodą damą. Ta, uśmiechając się uroczo, zaczynała rozpinąć bluzkę, by po kilku sekundach zamienić się w demona, który rzucał się na ekran i przerażał chatowiczów na śmierć. Zdezorientowani użytkownicy widzieli tylko napis TheLastExorcism.com. Z kolei „Transformers 2” było promowane śmiesznymi filmikami z castingu,

na których o role w hicie z wielkimi robotami starły się pralka, toster czy suszarka. Marketingowcy odpowiedzialni za promocję „Toy Story 3” odwoływali się natomiast do naszych wspomnień z dzieciństwa, produkując reklamę pluszowego misia, jednego z bohaterów animacji, stylizowaną na spoty z lat 80. Nowy „Conan Barbarzyńca” zachwycał ruchomym plakatem, na którym samotny wojownik stał na górze czaszek, a przed obejrzeniem „Incepcji” Christophera Nolana można było zagrać w grę online, której przejście odkrywało specjalny zwiastun filmu (w przypadku tego obrazu znaczącą rolę odgrywała także opisana wcześniej taktyka „Ale o co chodzi?”).

Czy bez takiego wsparcia te produkcje szturmem zdobyły box office? „Incepcja” i „Transformers 2” zapewne tak, „Ostatni egzorcyzm” prawie na pewno nie. Internet daje pomysłowym marketingowcom praktycznie nieograniczone możliwości promowania filmów, a ci ochoczo z nich korzystają. Na pewno jeszcze nie raz nas zaskoczą.

Nakaz aresztowania Batmana



Strona dedykowana ujęciu groźnego przestępcy - Spider-Mana

CHATY Z DEMONAMI, CASTINGI ROBOTÓW I RUCHOME PLAKATY

Wszystko to składa się na przedłużone życie prenatalne filmu. Po premierze obraz zarabia przez kilka, góra kilkanaście tygodni. Tymczasem kampanie promocyjne rozpisywane są na całe półrocze, czasami nawet dłużej. Choć „Hobbit” w reżyserii Petera Jacksona wejdzie do kin dopiero w grudniu tego roku, pierwsze nagranie na wideo-blogu z planu pojawiło się już 15 kwietnia 2011 roku! Przez minione kilkanaście miesięcy twórcy historii Bilba, Gandalfa i trzynastu krasnoludów sukcesywnie ujawniali kolejne materiały, każdorazowo czyniąc z tego wydarzenie (najbardziej wyczekiwana była oczywiście premiera zwiastuna). Dzięki temu ci, do których dotarły materiały siedzą jak na szpilkach, a gdy tylko film wejdzie do kin, pędzą na pierwsze pokazy.



Jest w mojej głowie takie sprężenie: ilekroć słyszę utwór „The Carnival Is Over” duetu Dead Can Dance, myślę o genialnym, przedwcześnie zakończonym serialu HBO „Carnivàle”.

The carnival is over...

JERZY RZYMOWSKI

© Artur Kazorek



Uzarania dziejów, po wielkiej wojnie pomiędzy Niebem a Piekłem, Bóg stworzył Ziemię i oddał ją pod panowanie sprytnej małpy, którą nazwał człowiekiem. W każdym pokoleniu rodziła się istota światła i istota mroku. Wielkie armie ścierały się nocami w odwiecznej wojnie między Dobrem a Złem. Były to czasy magii. Szlachetności i niewyobrażalnego okrucieństwa. Trwało to aż do dnia, w którym fałszywe słońce wybuchło nad Trinity, a człowiek na zawsze zastąpił cuda rozumem.

Stany Zjednoczone, połowa lat 30. XX wieku. Czas Wielkiego Kryzysu, gdy susze i burze piaskowe przetaczały się po Ameryce, niszcząc glebę i zmuszając ludzi do porzucenia rodzinnych farm lub zabijając ich pylicą. Trwająca siedem lat klęska żywiolowa, nazwana „Dust Bowl”, zostawiła wówczas bez dachu nad głową pół miliona Amerykanów. Ten dramatycznie ciężki okres stanowi tło dla akcji „Carnivàle” – jednego z moich ulubionych seriali i zarazem jednego z najlepszych seriali fantastycznych, jakie powstały.

Opowieść toczy się dwutorowo. Jeden wątek zaczyna się w Oklahomie, stanie najmocniej dotkniętym przez Dust Bowl. Młody Ben Hawkins, posiadający tajemniczą moc uzdrawiania, uciekając przed policją dotacza do tytułowego obwoźnego cyrku. Okazuje się, że losy chłopaka są nierozzerwalnie związane z cyrkowcami, a ich pojawienie się w jego rodzinnych stronach mogło nie być zbiegiem okoliczności. Równolegle poznajemy kalifornijskiego pastora metodystów, brata Justina Crowe’a, który odkrywa, że może czynić cuda i pragnie wykorzystać swe dary, aby pomóc ofiarom klęski żywiolowej. Nie jest to jednak łatwe, gdyż lokalna wspólnota wiernych krzywo patrzy na „przybłądów”.

Cytowany powyżej monolog wygłasza na początku pierwszego odcinka Samson – karzeł kierujący wesołym miasteczkiem w imieniu tajemniczego Zarządu, który nigdy opuszcza swej przyczepy (co sprawia, że niektórzy wątpią w jego istnienie). Od początku wiemy zatem, że będzie

to zwykła historia obyczajowa, tylko opowieść o magii i walce Dobra ze Złem. Sedno tkwi w tym, jak została ona przedstawiona.

Niezwykle rzadko pojawia się serial stanowiący dla widza takie wyzwanie intelektualne, jak „Carnivàle”. Pamiętam, jak po każdym odcinku poświęcone mu fora internetowe wrzały od dyskusji nad symboliką, ukrytymi znaczeniami wypowiedzi, imion, obrazów, czy wizji. Poszczególne kadry rozkładano na czynniki pierwsze, zwracając uwagę na takie detale, jak odbicia bohaterów w lustrze. Przegrzebywano Biblię i apokryfy, odwoływano się do wydarzeń i postaci historycznych oraz do symboliki tarota, który odgrywa w serialu olbrzymią rolę. I warto było skupić się przy oglądaniu i wypatrywać drugiego dna, gdyż niewiele w tej opowieści było dziełem przypadku. Na potrzeby prac nad „Carnivàle” jego twórca, Daniel Knauf opracował

Niezwykle rzadko pojawia się serial stanowiący dla widza takie wyzwanie intelektualne, jak „Carnivàle”.

obszerny dokument opisujący szczegółowo tzw. mitologię serialu – coś, co znamy m.in. z „Miasteczka Twin Peaks” czy „Zagubionych” (choć w ich przypadku raczej nie była ona

z góry przemyślana; wszystko wskazuje, że poszczególne elementy doszywano w trakcie kolejnych sezonów).

Ale to nie jedyny powód, dla którego tak uwielbiam ten serial. Jak zwykle w przypadku HBO, równie ambitnie twórcy podeszli nie tylko do treści, ale i do formy. „Carnivàle” było wówczas najdroższą produkcją tej sieci kablowej. Znajdziemy tutaj tę samą perfekcyjną dbałość o scenografię i kostiumy, z której znane są ich produkcje. Język, którym mówią bohaterowie – często z kłopotliwym do zrozumienia akcentem ze środkowych stanów – jest naszpikowany zwrotami pasującymi do czasu i miejsca akcji. Na oficjalnej stronie internetowej można było znaleźć słowniczek, bo nawet Amerykanie miewali trudności ze zrozumieniem niektórych sformułowań, na czele z kultowym powiedzonkiem Samsona: *Let's shake some dust!* Jak głosi fama, dopilnowano nawet tego, żeby aktorki, które pojawiały się w serialu nago, miały naturalne piersi, gdyż w latach 30. kobiety nie powięszwały sobie sztucznie biustów.

Kolejna rzecz to czołówka. Co tu dużo mówić – nawet pomysłowa gra skojarzeniami z „Dextera” i ruchoma mapa Westeros z „Gry o Tron” nie umywają się do tego, co wymyślono na potrzeby „Carnivàle”. Półtorej minuty, które sprawiło, że uwierzyłem, że możliwe byłoby zekranizowanie „Kronik Amberu” Rogera Zelaznego.

No i oczywiście bohaterowie – zdumiewający, wzruszający, wspaniali pod każdym względem. Ben próbujący się uporać z brzemieniem swego dziedzictwa. Charyzmatyczny kaznodzieja, brat Justin i jego przebiegła siostra Iris. Wróżbitka Sophie i jej katatoniczna matka-telepatka. Karzeł Samson usiłujący trzymać cyrkową ekipę w ryzach. Ślepy jasnowidz Lodz toczący własną rozgrywkę o moc i pomagająca mu w intrygach brodatka Lila. Oni i wiele innych postaci wciągają nas w swój świat i zapraszają słowami brata Justina: *pokażę ci rzeczy piękne i straszne*.

„Carnivàle” zaplanowano na sześć sezonów, a dokładnie: trzy dwusezonowe „księgi”. Niestety, oglądalność nie była zadowalająca, a opowieści o magicznym wesołym miasteczku urósł na własnym podwórku konkurent w postaci westerowego „Deadwood”. Gdy trzeba było decydować, w co pompować fundusze, nowsza produkcja wygrała. Przez pewien czas krążyły pogłoski, że HBO nakręci miniserial lub film zamykający najważniejsze wątki „Carnivàle”, lecz ostatecznie nic z tego nie wyszło. Pozostał niedosyt i żal, ale niezależnie od tego, że dzieło Daniela Knaufa zostało tak wcześnie przerwane, jest jednym z najważniejszych osiągnięć telewizyjnej fantastyki.



YODA–WYGNIODA

Zapewne nie jeden z wielbicieli „Gwiezdnych wojen” myślał, że dobrze byłoby znać mistrza Yodę. Wspaniałego starca o wielkiej Mocy, potrafiącego doradzić w każdej sytuacji. Nie mam tu nawet na myśli tzw. „wyznawców Jedi”, choć ta „religia” na trwałe wpisała się już w zwiariowany pejzaż kulturowy i wyznań XX wieku. Zwykli fani też chcieliby poznać Yodę. Z tego pragnienia i sympatii do zabawnie składającego zdania mędrca narodził się pomysł robienia papierowego Yody. Mnóstwo takich przepisów na figurkę origami jest w necie. Ale Yoda szóstoklasisty Dwighta z gimnazjum McQuarriego jest inny. On naprawdę potrafi doradzić.

Dziwne? Tak, tym bardziej, że Dwight nie jest jakąś klasową znakomitością.

Dziwny przypadek papierowego Yody.

Tom Angleberger



Tłumaczenie

Małgorzata Hesko-Kołodzińska
i Piotr Budkiewicz



Zabawne i pouczające przypadki papierowego Yody ucieszą każdego, kto właśnie kończy szkołę podstawową.

W każdym razie tak twierdzi Tommy, któremu historia papierowego Yody nie dawała spokoju, więc postanowił prowadzić dokumentację zdarzeń z jego udziałem. Ale choć Dwight to, wedle Tommy'ego, „beznadziejny frajer” – Yoda, którego Dwight trzyma na palcu, jest „niesamowicie mądry”. Skąd ta mądrość? Jak to się dzieje, że kiedy Dwight zaczyna przemawiać w imieniu trzymanego na palcu mistrza, z jego ust padają kwestie istotne? Tym niech się zajmą inni mędrzy. Dla chłopców i dziewczyn z prozy Anglebergera najistotniejsze jest, że mądrości papierowego Yody okazują się pomocne w sytuacjach typowych dla życia szóstoklasistów. Yoda może uratować honor chłopaka na szkolnej megaimprezie. Mistrz może też pomóc w przypadku „żenującej plamy”, gry w softball albo podjęciu decyzji o nauczaniu się twista. I w wielu innych przypadkach. O tym jest „Dziwny przypadek...”.

Książka Anglebergera przeznaczona jest dla 8-12 latków. Uczy, bawi i oferuje przepis na zrobienie sobie własnego papierowego Yody.

Recenzował
Jakub Winiarski

Media Rodzina 2012
Cena 25,00 zł

KRAJOBRAZY Z OTCHŁANI

Zgroza w Dunwich i inne przerażające powieści

H.P. Lovecraft



Tłumaczenie

Maciej Płaza

Klasyka horroru – piętnaście spojrzeń w otchłań pełną Wielkich Przedwiecznych.



Howarda Phillipsa Lovecrafta nie trzeba chyba nikomu przedstawiać. Samotnik z Providence jest ikoną grozy i postacią niezwykle ważną dla popkultury: inspirował licznych pisarzy, filmowców, grafików, twórców komiksów i gier oraz muzyków (z Metaliką na czele).

„Zgroza w Dunwich...” to liczący prawie osiemset stron wybór piętnastu sztandarowych tekstów Lovecrafta dokonany przez Macieja Płazę i opatrzony przez niego obszernym postowiem, w którym redaktor i tłumacz w jednej

WIARA CZYNI CUDA

„Tron Półksiężycy”, pierwsza księga cyklu „Królestwa Półksiężycy” Saladina Ahmeda opowiada dzieje Adulli Machsluda, ostatniego łowcy ghuli w stolicy Abassenu, Dhamsawaacie, oraz jego asystenta, nastoletniego derwisza Rasida. Obaj skutecznie walczą ze sługami Zdradzieckiego Anioła dzięki darom Boga i obaj są pobożni, chociaż każdy na swój sposób. Adulla nie jest typowym bohaterem fantasy. Ba, nie jest nawet typowym podstarzałym bohaterem – myśląc o takich mamy przed oczami raczej kogoś w rodzaju obsady „Niezniszczalnych”, niż tęgiego niechlujka z krogulczym nosem. W jego wierze jest miejsce na niuanse wynikające z doświadczenia, a powołanie, przez które nie mógł się ożenić, staje się dla łowcy coraz większym brzemieniem. Z kolei Rasid to zdyscyplinowany wychowanek Zakonu, trzymający

Tron Półksiężycy

Saladin Ahmed



Tłumaczenie

Przemysław Bieliński



Barwna opowieść o sługach Bożych, walczących z siłami nieczystymi w arabskiej scenarii.

się litery Niebiańskich Rozdziałów, lecz nie znający prawdziwego życia. Gdy spotkają na swej drodze zmiennokształtną Zamię, ostatnią z wymordowanego plemienia, wraz z przyjaciółmi będą musieli stawić czoło zagrożeniu, jakiego ludzkość nie doświadczyła od wieków.

Główni bohaterowie „Tronu Półksiężycy” to ludzie wiary. W powieści znajdziemy różne jej oblicza, w tym również te niegodne. Autor zdaje się pokazywać, że prawdziwa wiara daje człowiekowi siłę do przeciwstawienia się wszelkim przeciwnościom losu, ale ma świadomość, że wszędzie trafiają się ludzie zaślepieni, nikczemni bądź instrumentalnie wykorzystujący imię Boże do własnych celów (podobne wątki znajdziemy m.in. w „Ostatniej bitwie” C.S. Lewisa). W dobie, gdy niemal na każdym kroku obserwuje się starcia fundamentalistów – zarówno tych religijnych, jak ateistycznych – Ahmed przypomina, że można wierzyć nie popadając w skrajności, a najważniejszym kompasem życiowym jest Boży dar sumienia.

Recenzował
Jerzy Rzymowski

Prószynski Media 2012
Cena 19,90 zł

osobie przybliży biografii pisarza oraz analizuje motywy powtarzające się w jego twórczości. Znajdziemy tu najśtywniejsze utwory HPL-a, w tym m.in. opowiadania „Zew Cthulhu”, „Dagon”, „Szepczący w ciemności”, „Szczury w ścianach”, „Muzyka Ericha Zanna” oraz mikropowieści „Przypadek Charlesa Dextera Warda” i „W górach szaleństwa”. Całość została opatrzona nastrojowymi ilustracjami Johna Coultharta.

Dwa lata temu, w „Czasie Fantastyki” Mateusz Kopacz w tekście „Odrażający, bluźnierczy Necronomicon” zwracał uwagę na to, że przekłady Lovecrafta stały do tej pory w Polsce na bardzo niskim poziomie. Nie tylko jemu ten stan rzeczy był solą w oku, gdyż jedną z rzeczy, na które uwagę czytelnika wydawca zwraca już od okładki, jest *nowy, wierny przekład, w pełni oddający elegancję i bogactwo stylu Lovecrafta*. Zmiany widać nawet w tytułach tekstów („Kolor z przestworzy” stał się „Kolorem z innego wszechświata”, a „Koszmar...” bądź „Horror w Dunwich” został przemianowany na „Zgrozę w Dunwich”).

Z dotychczasowych polskich wydań HPL-a, to stoi na najwyższym poziomie. Miejmy nadzieję, że doczeka się drugiego tomu, w którym znajdują się nie mniej ważne utwory, jak „W poszukiwaniu nieznanego Kadath”, „Model Pickmana”, „Coś na progu” czy „Reanimator”.

Recenzował
Jerzy Rzymowski

Vesper 2012
Cena 59,90 zł